

*Marcin Król*

## **Jaką człowiek ma naturę? Liberalny optymizm i liberalny pesymizm**

Jaki człowiek jest z natury? Pytanie to stawiali filozofowie zawsze, nie zawsze jednak odpowiedź na to pytanie miała zasadnicze konsekwencje dla myśli dotyczącej życia publicznego, dla filozofii politycznej. Dopiero, kiedy odpowiedź chrześcijańska, wcale zresztą niejednoznaczna, została zakwestionowana lub kiedy w każdym razie już nie była uznawana za powszechnie obowiązującą, mogła pojawić się myśl liberalna, której niezbędnym składnikiem było przeświadczenie, że człowiek jest z natury dobry lub – przy spełnieniu pewnych warunków – mógłby być co najmniej lepszy. Zamierzam więc zająć się jedną prostą tezą: liberalna idea dążenia do doskonałości (*pursuit of excellence* – jak to znacznie lepiej brzmi po angielsku) jest zarówno radykalnie odmienna od chrześcijańskiej, jak i po prostu optymistyczna, bowiem wynika z optymistycznej wizji ludzkiej natury. Liberalizm, który głosi pesymistyczną wizję ludzkiej natury, wobec tego podcina gałąź, na której siedzi.

Jak należy w tym tekście rozumieć optymizm i pesymizm w odniesieniu do ludzkiej natury? Najprościej rzecz ujmując istnieją trzy ewentualności: człowiek jest z natury dobry, człowiek jest z natury zły lub wreszcie człowiek nie jest z natury ani dobry, ani zły, jednak można polepszyć naturalne skłonności i talenty człowieka i pośrednio całych społeczeństw lub można je pogorszyć. Chociaż w historii nowożytnej myśli politycznej padały odpowiedzi jednoznaczne: człowiek jest z natury zły (Hobbes) lub człowiek jest z natury dobry (Rousseau), to, po pierwsze – odpowiedzi jednoznaczne są zawsze mało

interesujące i, po drugie – wcale, w każdym razie w przypadku tych wielkich myślicieli, nie były one aż tak jednoznaczne i podlegały nieoczekiwaniu zróżnicowanym interpretacjom.

Odpowiedź interesująca z mojego punktu widzenia i najczęściej pojawiająca się w tradycji myśli liberalnej głosi, że jeżeli zostanie zrealizowana wartość najwyższej przez liberałów ceniona, czyli wolność, wówczas człowiek będzie niewątpliwie dążył do tego, żeby się doskonalić. Owego doskonalenia się nie musimy rozumieć jako zatrudnienia duchowego, którego celem jest osiągnięcie takich ideałów, jak prawda, dobro czy piękno. Wystarczy przekonanie, że człowiek będzie dążył do doskonałości choćby w minimalnym zakresie, będzie na przykład możliwie najlepiej lepił z gliny lub uprawiał swój ogródek. Rzecz jasna, niektórzy liberałowie, a przede wszystkim ich najwybitniejszy przedstawiciel, John Stuart Mill, odróżniali przyjemności wyższe i niższe, ale kryteria, jakie stosowali, były rozmaite i trudno oczekiwać, żeby w tej mierze mogła pojawić się zgoda powszechna. Dla nas istotne jest, iż cel, jakim była wolność, a od czasów Benjamina Constanta jest to przede wszystkim wolność prywatna, nie był dla liberałów celem samym w sobie, lecz miał służyć doskonaleniu się jednostki. Co więcej, zrealizowanie tego celu stanowiło warunek niezbędny dla doskonalenia się jednostki. Człowiek pozbawiony wolności prywatnej lub człowiek, którego wolność jest ograniczona ponad konieczność wynikającą z potrzeby zachowania wolności innych ludzi, nie może się doskonalić.

Nie jest równie oczywiste, czy doskonalenie się jednostek prowadzi nieuchronnie do doskonalenia się społeczeństw, ani czy doskonalenie się jednostek i – ewentualnie – społeczeństw ma charakter procesu, który moglibyśmy określić mianem postępu. Takie zapewne tezy głosił Condorcet, chociaż i w jego sławnym dziele nie są one sformułowane wprost. Istnieją tu w zasadzie dwie możliwości; albo dążenie do doskonałości jednostek ma pośrednie lub wręcz bezpośrednio przełożenie na stan społeczeństw, albo po prostu między takim dążeniem a stanem społeczeństwa nie ma żadnego związku. Innymi słowy, albo istnieje silny związek między wykorzystaniem wolności prywatnej a wykorzystaniem wolności publicznej, albo związku tego brak. W pierwszym przypadku mamy do czynienia z demokracją, która bywa określana mianem republikańskiej, w drugim zaś z silną postacią demokracji liberalnej.

Jak wynika z tego, co powiedziano wyżej, od decyzji dotyczącej ludzkiej natury uzależnione są niemal w całości treść i przesłanie myśli liberalnej. Dotyczy to, aczkolwiek na innej zasadzie i niekoniecznie aż w tym stopniu, również myśli konserwatywnej i socjalistycznej. Jakże jednak mogą być filozoficzne źródła tej decyzji? Skąd wiemy lub możemy wiedzieć, jaki człowiek jest z natury? Po pierwszych próbach udowodnienia tego, jaki człowiek jest z natury, polegających na przepatrywaniu dziejów lub analizowaniu rozmaitych przypadków zarówno z przeszłości, jak i współczesnych, zaniechano tych wysiłków. Szybko okazało się bowiem, że ani historia, ani rzeczywistość

aktualna nie mogą dostarczyć podstaw do wyciągania jakichkolwiek ostatecznych wniosków. Kiedy przypomnimy sobie, jak rozumowali na ten temat tacy niewątpliwi znawcy ludzkiej natury, jak Machiavelli czy Montaigne, to zorientujemy się, że – mimo iż mamy w ich dziełach bardzo wiele anegdot i odwołań do całkowicie dowolnie interpretowanych zdarzeń historycznych – stylistyka ta służyła przede wszystkim jako konwencja do wyrażenia własnych przekonań, których dowodzenie w istocie wydawało im się zbędne.

Dzisiaj historycy zabieg ten określają mianem *story telling*, czyli jak to niezgrabnie tłumaczymy na polski – snucie opowieści lub opowiadanie historyjek. Opowiadamy te historyjki nie dlatego, żeby wyciągać z nich jedyne logiczne wnioski, lecz dlatego, że wiemy doskonale, iż rzeczywistość świata ludzkiego jest tak bogata i zróżnicowana, że wszelkie konceptualne uogólnienia żle ją przedstawiają. Nie jesteśmy naturalnie pisarzami, ale bliżej nam do nich niż do uczonych, którzy polegają na logice dowodu. Opowiadanie historyjek ma dawać do myślenia oraz sugerować, natomiast anegdoty owe nie stanowią w żadnym razie ostatecznego argumentu. A zatem skąd wiemy, jaka jest ludzka natura? Jedyna odpowiedź, która wydaje się do przyjęcia, brzmi: z naszego założenia, czy, słabiej, z naszego domniemania. Oczywiście domniemanie owo nie jest w pełni arbitralne, jednak prezentując publicznie jakiegokolwiek argumenty mające je umocnić, jesteśmy świadomi istnienia bardzo silnych kontrargumentów.

Jakżeby zresztą mogło być inaczej w końcu XX wieku, który bardziej zapewne niż jakiegokolwiek inny okres w historii dostarczył nam przykładów ludzkiego heroizmu i dążenia do doskonałości, jak i ludzkiej podłości i świadomego, lub częściej nieświadomego dążenia do zła? Nie jesteśmy już zdolni do wspaniałomyślnego optymizmu Condorceta, który swoje nad wyraz optymistyczne dzieło pisał w więzieniu, świadom bliskiej śmierci i bez nadziei na życie wieczne. Dlaczego jednak na podstawie dramatycznych wydarzeń naszego stulecia mielibyśmy, jak to czyni obecnie większość myślicieli liberalnych, wyciągać pesymistyczne wnioski dotyczące ludzkiej natury? Z punktu widzenia logiki, skoro poglądy na ten temat wynikają z przyjętych przez nas założeń, a nie z obserwacji rzeczywistości, równie uprawnione są wnioski optymistyczne.

Dochodzimy zatem do stwierdzenia, że ci spośród myślicieli liberalnych, którzy głoszą obecnie pesymistyczną wizję ludzkiej natury, a w gruncie rzeczy ci liberałowie, którzy kiedykolwiek w dziejach taką wizję głosili, czynili to powodowani ostrożnością tego, kto się już raz sparzył, postępowali jak mężczyzna, który podtrzymuje spodnie za pomocą paska i szelek, na wszelki wypadek, ponieważ może się zdarzyć, że jedno z nich zawiedzie. Do czego bowiem sprowadza się argumentacja takich współczesnych zwolenników pesymistycznej wizji ludzkiej natury, jak Richard Rorty czy Judith Shklar?

Do tego, że przemożna okazuje się obawa, iż ludzie, którzy mają wyraźne poglądy na jakiegokolwiek ważny temat, będą wcześniej lub później usiłovali narzucić te poglądy innym ludziom, może wszystkim ludziom, stosując roz-

maite formy przemocy. Jak powiada się bowiem wprost, nie istnieje możliwość osiągnięcia kompromisu, kiedy spór dotyczy prawdy czy też innych wartości uważanych za absolutne. A skoro kompromis jest niemożliwy, to wyłącznym wyjściem jest zwycięstwo jednej ze stron, czyli zniewolenie strony przeciwnej. W obawie przed takim zniewoleniem należy unikać samego sporu prowadzonego na forum publicznym.

Rozumowanie to jest oparte, jak sądzę, na dwu z gruntu niesłusznych domniemaniach. Po pierwsze, przeceniana jest zarówno siła, jak i liczba wyznawców jednej, absolutnej prawdy. Przecież, by sięgnąć do najbardziej oczywistego przykładu, nawet chrześcijanie, których wiara jest niewzruszona, uważają prawdę za tajemnicę i – o ile nie są zwyczajnymi sekciarzami lub o ile nie roszczą sobie bezpodstawnych pretensji do rozszerzania dogmatów wiary na niesakralne dziedziny życia prywatnego i publicznego – są ludźmi pełnymi, jak wszyscy, wątpliwości, skłonniymi do prowadzenia publicznej debaty na temat dręczących ich problemów. Mówiąc wprost, dążenie do prawdy jest utożsamiane z przekonaniem, że prawda jest nam już doskonale znana. A przecież całe dzieje filozofii i wszelkiej refleksji nad ludzkimi sprawami pokazują, iż dążący do prawdy stanowią ogromną większość, natomiast przekonani o tym, że prawdę posiadli – mniejszość, i to mniejszość z reguły znajdującą się na pograniczu szaleństwa. Dlaczego zatem olbrzymia większość ma być tak źle traktowana jedynie z racji radykalnych skłonności występujących w nielicznych i często humorystycznych (prawda, że czasem i straszliwych) przypadkach?

Po drugie, rozumowanie liberalnych pesymistów prowadzi do podważenia sensu publicznej debaty czy może raczej opiera się na przeświadczeniu, że debata taka może prowadzić co najwyżej do ustalenia pewnych praktycznych reguł postępowania, jakie należy stosować w sytuacji konfliktowej, natomiast nie ma sensu ani jako sposób na zbliżenie się do prawdy, ani jako bezinteresowna forma wspólnej refleksji nad dobrem publicznym. Bezpośrednią konsekwencją takiej postawy jest rezygnacja ze sporów publicznych o wartości i zastąpienie ich sporami o techniki realizacji – i tu właśnie rodzi się pytanie: realizacji czego? Jak się zdaje, jedyna rozsądna odpowiedź brzmi: zapewnienia spokoju społecznego. Nie należy zatem mówić, jak to uczynił Rorty,<sup>10</sup> o pierwszeństwie demokracji w stosunku do filozofii, lecz raczej o pierwszeństwie świętego spokoju w stosunku do filozofii. Czy naprawdę upadliśmy aż tak nisko? Natomiast pośrednią konsekwencją jest oddanie spraw publicznych w ręce ekspertów, bo przecież oni są specjalistami od rozwiązań technicznych i – wszyscy się z tym zgadzamy – debata publiczna raczej mąci ludziom w głowach niż pomaga zrozumieć, jaki na przykład system ubezpieczeń społecznych jest najkorzystniejszy.

Zastanówmy się teraz, na czym polega ryzyko związane z założeniem nie tyle naturalnie, że ludzie są z natury dobrzy, ile że w sprzyjających okolicznościach byłiby skłonni zmierzać do doskonalenia się i że – również w sprzyjających okolicznościach – dążenie do prawdy na forum publicznym przyjmowałoby

charakter intelektualnej perswazji, a nie przymusu fizycznego czy choćby przymusu opinii publicznej, którego tak obawiał się już Stuart Mill. Przede wszystkim musimy powiedzieć, na czym polegają owe sprzyjające okoliczności. Otóż są to okoliczności, o których uzyskanie prowadzili walkę intelektualną i polityczną od drugiej połowy XVII wieku myśliciele liberalni, i to myśliciele sytuujący się w bardzo różnych punktach przecież szerokiego liberalnego spektrum. Być może lepiej byłoby tu mówić nie o okolicznościach, lecz o warunkach, i wówczas najlepszym sformułowaniem takiego warunku okaże się koncepcja wolności negatywnej w tej postaci, w jakiej została wyrażona ostatecznie przez sir Isaiaha Berlina, ale w jakiej funkcjonowała już znacznie wcześniej, chociaż bez – dla niektórych – mylącego przymiotnika „negatywna”.

Przecież trzysta lat historii liberalnej to trzysta lat nieustającej walki o wolność, niech będzie, że o wolność prywatną, jak tego chciał Benjamin Constant, ale wolność nie po to, żeby być wolnym, lecz po to, żeby dzięki wolności człowiek mógł realizować swoje najrozsądniejsze szczytne zamierzenia. Myśl liberalna tym różni się właśnie od myśli socjalistycznej, że warunki realizacji człowieczeństwa określa niezwykle szeroko, a także w sposób otwarty, natomiast pod tym względem jest podobna, że warunki takie stawia i że podjęła, w zasadzie z sukcesem, walkę o ich realizację. Kiedy socjaliści powiadali, że warunkiem realizacji przyrodzonych praw ludzkich jest zmiana stosunków społecznych, sytuacji gospodarczej czy prawnego określenia własności i wreszcie równości w dostępie do wszelkich dóbr, liberałowie domagali się jedynie tego, co dziś określamy mianem wolności negatywnej. Spełnienie tego warunku nie było wcale takie proste i dlatego historia myśli liberalnej pełna jest rozważań i chytrych sztuczek służących przekonaniu przeciwników, że człowiek wolny nie będzie niebezpieczny dla innych ludzi i dla całego społeczeństwa, a wprost przeciwnie, będzie właśnie lepszym obywatelem i lepszym człowiekiem.

Gdyby liberałowie nie formułowali celu walki o wolność negatywną w taki właśnie, czyli pozytywny i optymistyczny, sposób, to doprawdy nie byłoby żadnego powodu, żeby zostali wysłuchani. Albowiem wolność negatywna jako cel, a nie tylko jako warunek, nie stanowiła dostatecznego argumentu dla wprowadzenia demokracji liberalnej jako filozoficznie uzasadnionej najlepszej formy ustrojowej. Gdyby myśliciele liberalni drugiej połowy XVIII i XIX wieku byli nastawieni pesymistycznie wobec ludzkiej natury, to zapewne znacznie rozsądniej by postąpili, jeżeliby poszli tropem Hobbesa i – uwzględniając późniejsze doświadczenia – poprzestali na idei absolutyzmu oświeconego, który przecież gwarantował znaczne swobody prywatne. Nie od rzeczy będzie tu przypomnienie, że i w XX wieku istnieli ukryci i całkiem skuteczni zwolennicy nowoczesnych form absolutyzmu oświeconego, na przykład prezydent Czechosłowacji Masaryk, zarówno zresztą jako polityk, jak i jako filozof.

Niemal wszystkie ponadto zastrzeżenia, jakie są formułowane w stosunku do demokracji liberalnej, wynikają z domniemania, bo przecież nie jest to – jak

już była mowa – potwierdzone doświadczenie, że ludzie są źli lub, co najmniej, kiedy znajdują się w sytuacji wyboru między dobrem i złem, niemal zawsze wybierają zło. Krytykom demokracji liberalnej nie idzie zresztą o wybór zła absolutnego, bo to doprawdy zdarza się niezwykle rzadko, a diabeł wcielony, wbrew powiedzeniu, to rzadki okaz, godny z tej racji szczególnego zainteresowania. Krytykom demokracji liberalnej chodzi raczej o to, że ludzie postawieni w sytuacji wyboru działają często egoistycznie lub bezmyślnie, powtarzają cudze myśli lub cudze zachowania. Tu jednak krytycy owi, jak się zdaje, nie do końca wiedzą, o czym mówią, ponieważ, jeżeli ludzie nie są ich zdaniem z natury podli, a tak stanowczej opinii nie głosi nikt, łącznie z kościołami chrześcijańskimi, to nie może to być tylko ich wina, że dokonują marnego wyboru, podejmują decyzje jakby nie we własnym imieniu.

Wtedy pojawiają się socjaliści lub konserwatyści, którzy uważają, iż albo trzeba radykalnie zmienić społeczne lub materialne warunki życia, albo ludzi pozbawić części tej wolności i praw, jakie im przysługują pod władzą liberalizmu. Jednak liberałowie mają niemal od początku istnienia myśli liberalnej odpowiedź na te niebezpieczne zakusy. Polega ona na przeświadczeniu, że wolny człowiek, jeżeli stworzy mu się minimalne sprzyjające okoliczności (także materialne), będzie zmierzał do takiej realizacji własnego interesu, która uwzględni interes wspólny, i będzie miał takie projekty na życie, które zakładają umiarkowane doskonalenie siebie samego.

Jeżeli liberałowie zrezygnują z tego przeświadczenia, to wówczas doprawdy ich poglądy staną się bezużyteczne i nic za nimi nie będzie przemawiało. Ani skuteczność, ani doniosły charakter takich wartości, jak wolność negatywna. Wiemy przecież doskonale, że na przykład tolerancja lub pluralizm nie są wartościami samymi w sobie, lecz jedynie sposobem na ograniczenie nadmiernej ingerencji w cudze życie, ingerencji zarówno prywatnej, jak i instytucjonalnej. Dlaczego jednak taka ingerencja miałaby być niebezpieczna, gdyby człowiek sam nie potrafił formułować wyższych wartości czy też dążyć do – jak chciał Mill – wyższych przyjemności? Przeciwnie, byłaby zbawienna. Bronimy się przed nią nie na zasadzie „wolność Tomku w swoim domku”, ale dlatego, że bronimy naszej godności, naszego prawa do odmienności, o ile wykorzystywanie tego prawa nie narusza cudzych praw. Czynimy tak, gdyż jesteśmy przekonani, że wolny człowiek jest w zasadzie dobrym człowiekiem i właśnie dlatego zniewolenie jest złem. Tu zataczamy koło w naszym rozumowaniu i wracamy do punktu wyjścia, czyli do tego, że idea *pursuit of excellence* daje się bronić tylko jako założenie, a nie jako dowód, jako postulat lub wizja, a nie jako opis stanu faktycznego.

Przyjęcie tego założenia dało nam przecież to, co teraz mamy, czyli nieznaną w dziejach stan wolności i pomyślności w ramach kultury zachodniej. I chociaż wszyscy co pewien czas narzekamy na niewątpliwie przesadne rozpasanie w owej wolności i pomyślności, na liczne towarzyszące jej zjawiska negatywne, to jednak lata powojenne były i – mimo wszelkiej wątpliwości – w dalszym ciągu

są latami rozkwitu świata łacińskiego, a także takiej realizacji wartości i dóbr zawsze uważanych za cenne, jakiej nigdy w dziejach nie można było sobie nawet wyobrazić. Nawet etatowy i naturalny krytyk nowoczesności, jakim jest Kościół katolicki, przestał zaprzeczać idei demokracji liberalnej i idei wolnego rynku, a tylko je krytykuje z pozycji niejako od wewnątrz, często słusznie wskazując na nadużycia i korupcję zasad moralnych.

Jakie z tego płyną wnioski? Stosunkowo prymitywne. Liberalowie strachu, liberalowie-zwolennicy prymatu wolności negatywnej, liberalowie głoszący niewspółmierność wartości, liberalowie obawiający się wreszcie filozofii, nie tylko podcinają gałąź, na której siedzą, ale, co więcej, podważają sens samego przesłania liberalnego. Kryzys nie jest kryzysem rzeczywistości – która przecież zawsze jest w stanie pewnego rodzaju kryzysu, skoro zmiana jest formą kryzysu – lecz jest kryzysem myśli liberalnej. Próbuje na ten kryzys reagować komunitarianie czy też zwolennicy demokracji republikańskiej (co zdaniem niektórych wychodzi na jedno), ale reakcje te wydają się i niedostatecznie intelektualne, i nazbyt lękliwe. Tocqueville, Mill i paru innych widzieli wszystkie dziś dostrzegane zagrożenia, obawiali się ich, ale nie nadmiernie. Uważali, że najważniejsza jest czujność, jednak nie taka czujność, która prowadzi do zbudowania muru i założenia systemów alarmowych. Przeciwnie, taka czujność nas od świata odgradza, a więc w konsekwencji niszczy naszą wolność. Zaś nasza wolność – ogólnie rzecz biorąc – ma się nieźle i jeżeli należy o coś walczyć, to jedynie o więcej wolności i lepsze jej wykorzystywanie. By zakończyć banałem – atak jest najlepszą formą obrony.